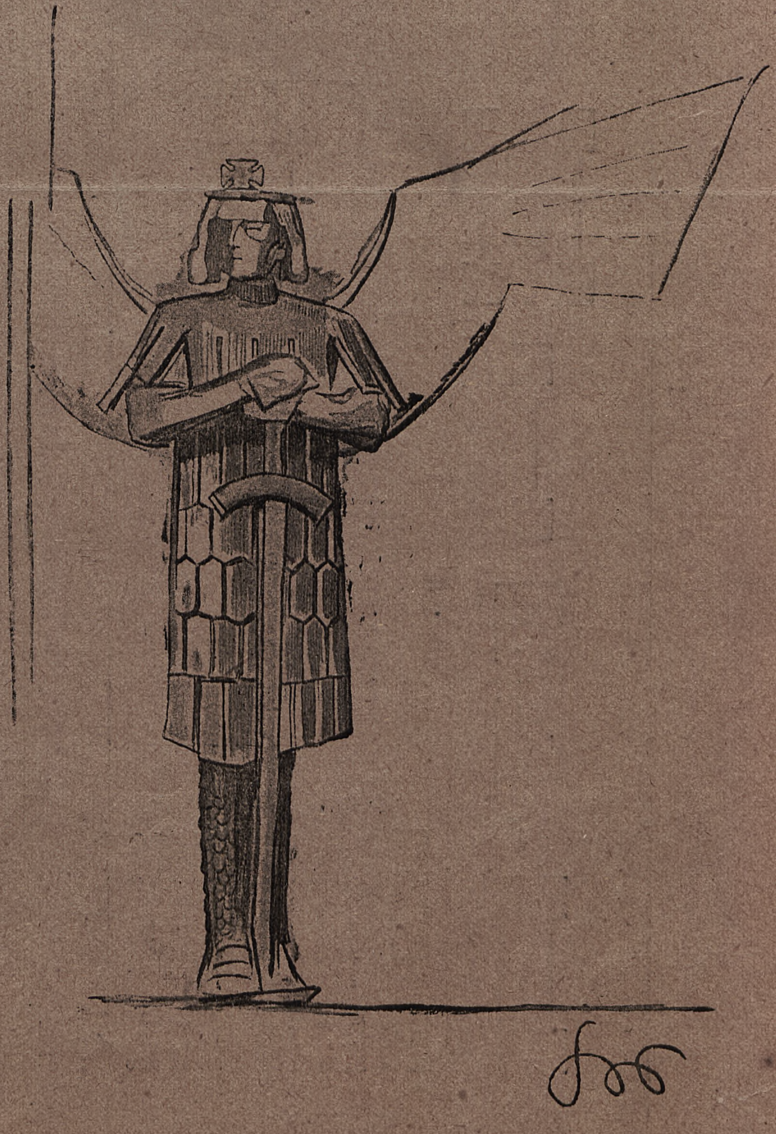
ŻYCIE



ROCZNIK I. ZESZYT III.
DNIA 15. PAŹDZIERNIKA 1910 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

MARJA KONOPNICKA.

Ponieśliśmy ciężką stratę. Marja Konopnicka umarła.

Przestała drgać na wielkiej lirze poezji polskiej jedna z najczulszych jej strun. Zastygło na wieki tkliwe, szlachetne, iście kobieco współczujące serce, które powiedziało o sobie i sobie:

Nie wam słowiki wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą różo kwitnąć przy drodze...
Lecz z tobą płakać, człowieku.

Z domu Wasiłowska, urodziła się w r. 1846 w Sieniątkach, pierwsze wychowanie otrzymała w Warszawie, po wyjściu zamąż mieszkała na wsi, poczym w 1870 roku powróciła do stolicy, gdzie z przerwami przybywała do r. 1890, zespalając całkowicie swą wrażliwą duszę z targającym się boleśnie tętnem tragicznego miasta, gdzie zbiegają się nerwy Polski — by stać się wymownym, podniosłym poetycznym wyrazem nowych pragnień, marzeń, porywów i zagadnień, nurtujących podówczas w społeczeństwie.

Poczęła tworzyć w latach, kiedy we wszystkich dziedzinach życia poezja została wyklęta, kiedy usiłowano lirę strzaskać „jako bezbożne, przeklęte narzędzie“ kiedy prawodawcy narodu odetchnęli: że „oto poezja zdradziecka umysłów wytrzeźwionych oczadzać nie będzie“.

Była to doba zimnego rachunku, wyrzeczenia się marzeń — pracy u podstaw i bezkrytycznych uwielbień dla rozwijającego się kapitalizmu, zachwytów nad rycerzami przemysłu i wolnością najmity.

Nie tyle drogą rozumowania, ile intuicją niezwykle wrażliwego serca młoda poetka ujęła istotną treść tej nowej w Polsce sprawy, i stanęła całkowicie po stronie wydziedziczonych, malując ich dolę w całym szeregu obrazków, jak: „Sobotni wieczór", „Wolny najmita", „Czy marzą", „Bez dachu".

Strwożonym skrzydłem, jak owa w jej wierszu jaskółka, przelatywała obszary, ludowych cierpień i rzucała w społeczeństwo palące pytania:

. . . Dla czego z pozoru,
Praw równość głosicie człowieka,
A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu,
Tak zawsze boleśnie daleka?. . .
Dla czego przed dzieckiem — panienką — paniczem,
Zsiwiały swą głowę odkrywa
Staruszek, piast wiejski, z dostojnym obliczem?
Kto bratnie rozerwał ogniwa?

Czemu Jaś nie doczekał? i czy niema w tym naszej winy?

Poezje tej serji poświęcone zagadnieniom społecznym i wtórujące realnym dążeniom i zmaganiom się pokrzywdzonej warstwy, zyskały jej zaszczytne miano poetki proletarjatu — polskiej Ady Negri, której się miała stać potym znakomitą tłumaczką.

Pod względem artystycznym w tych jej bolesnych wołaniach jest jeszcze sporo retoryki, a chwilami nawet kaznodziejstwa.

W miarę tego jednak, jak talent jej dojrzewał, jak wyzwala się z pęt nakazów stawianych podówczas poezji — pieśń jej stawała się coraz rozlewniejszą, doskonalszą, by rozśpiewać się wreszcie w owych na motywy ludowe nastrojonych melodjach, drobnych rozmiarami prawdziwych klejnotach liryki naszej: „Na fujarce" „Po rosie" „Z łąk i pól" „Wieczorne pieśni".

Nie są to już wiersze — jest to jak gdyby podnoszący się samorzutnie z łanów żałośny śpiew. Takie utwory:

A kto ciebie złotem
Wiosno odziewał?
I tęczowych wód rzeszotem
Blaski przelewał na strudze,
Blaski przelewał?
Kto ci będzie słał pod nogi
Jasne kolory?
Gdy zachodzi dzionek błogi,
Za lasy, bory, het! cudze,
Za lasy, bory! . . .

nie dają się mówić, ale grać lub nucić. Rym i rytm staje się tu muzyką.

W tych jej cudownych piosenkach, jakby żywcem z serca wyjętych, spowiada się nie tylko ze swego słodkiego czaru nasza ziemia, ale się zwierza ze swych tajonych tęsknot i cichych łez. Osnute melancholją, drżące tłumionym płaczem, są jakgdyby łkaniem serdecznym pochylającej się czule nad każdym smutkiem Polski rozrzewnionej Pieśniarki.

Rozżala ją każda Ojczyzny rana, rozkrwawia jej każdy cierń, staje się niewyczerpanym, czystym jak kryształ źródłem współczucia, krynicą smutku nad wszystkim, co cierpi, nawet nad dolą chłopskiego konia... a zarazem polskiego, co nie zazna już boju, ujarzmionego rumaka.

A czegóż rżysz po rosie,
Koniku mój siwy,
Nie będę ja w jedwab zaplatał
długiej grzywy,
hej, długiej grzywy...

Zębatą ciągnąc bronę,
Spotniejesz białą rosą,
Ani cię wiatry one
w kraj świata nie poniosą...
Hej, nie poniosą...

Nie będą tobie grały
Muzyki, ni trębacze,
Jeno cię wiatr pogrzebie
A deszczyk cię zapłacze
Hej! deszcz zapłacze...

Niezwykle wrażliwa dusza Poetki staje się płomiennym echem każdego donioślejszego w ojczyźnie zdarzenia i stąd powstaje cała serja „Ludziom i chwilom", wierszy niejako okolicznościowych, w której ujawnia się Jej niezwykły improwizatorski dar i owo poetyczne na wszystko, co się dzieje, wejrzenie. W cyklu „Italia" Konopnicka osięga mistrzowstwo formy, talent Jej mężnieje, by wybuchnąć z całą potęgą w „Panu Balcerze" pełnej grozy i przejmujących akcentów epopei polskiego chłopa, gnanego nędzą z ojczyzny za morza. Bogata twórczość poetki znajdowała swój wyraz i w tak zwanej najniewłaściwiej w stosunku do niej prozie. Jej drobne nowelki są skarbami uczucia i perłami stylu.

Hojnie obdarzała swym talentem dzieci polskie, składając im całe wiązanki świeżych jak kwiaty prześlicznych wierszy i ukochaną przez małych czytelników „Historję o Krasnoludkach i o sierotce Marysi".

Bezsprzecznie najznakomitsza z poetek Polski mocą swej miłości podbiła serca wszystkich. I oto u jej mogiły najbardziej poważnionych związał wszechmocny czar Jej pieśni, cześć powszechna i głęboki zal, że odeszła, że zwinęły się na wieczny sen wysokim lotem stargane te białe, cudne, w niebiosa rwące Jej wielkie skrzydła.

Dr. JUDYM.

MYŚL DEMOKRATYCZNA W GALICJI.

I.

Polska myśl demokratyczna w Galicji przeżywa okres przełomowy. Moment tym ważniejszy, że praca demokratyczna na gruncie tutejszym napotykała zawsze na wyjątkowe przeszkody i trudności. Kraj, wciągnięty w sferę urządzeń prawnospołecznych monarchji rakuskiej, zdołał się wprawdzie z konieczności nieco zdemokratyzować, ale tylko zewnętrznie. Urzędy i zawody „inteligenckie", zwłaszcza w zachodniej części, zapełniły się w znacznej mierze ludźmi pochodzenia mieszczańskiego i włościańskiego, ale z nowymi ludźmi nie przyszła nowa myśl. Raczej powiedzieć trzeba, że po różnych falowaniach spotężniała reakcja i zaściankowość. Na treść demokratyczną nie pozwalały wpływowe czynniki miejscowe.

Inteligencja miast i miasteczek, a nawet stolic, wyodrębnia się — nieraz bez własnej winy — tak jaskrawo od środowiska, w którym po obywatelsku działać powinna, że bezstronny postrzegacz mógłby ją nazwać kolonją, obcą otoczeniu. Nie będzie w tym przesady, jeżeli powiemy, że mimo wszystko niema zbyt wielkiej różnicy między kolonjami urzędniczymi w Królestwie i Poznańskiem, a takimiż kolonjami w Galicji. Wyjątki, jakie istnieją, potwierdzają stan ogólny.

Nie wdajemy się w skargi i rekryminacje, lecz tylko spróbujemy wskazać niektóre przyczyny smutnego zjawiska, świadczącego bardzo niekorzystnie o kulturze Galicji.

W epoce konstytucyjnej, gdy Austrja porzuciła politykę wyłącznie germanizacyjno-centralistyczną, ster rządu w Galicji przeszedł w ręce kasty, która w zaniedbanym kraju ciemnoty i analfabetyzmu posiadała odrobinę wykształcenia, górowała zasobami materjalnymi oraz tradycją dawniejszego panowania. Było to podobno koniecznością, lecz nie było szczęściem dla kraju, a to z powodu specyficznych właściwości galicyjskich wielmożów.

Galicja, włączona w państwo rakuskie zaraz po pierwszym rozbiorze, nie przeżyła odrodzenia, jakiego doznała myśl polska w innych dzielnicach. Wyobrażenia kastowe anarchji saskiej panowały tu w całej pełni jeszcze w drugiej połowie ubiegłego stulecia, nie zanikły do dzisiaj w mózgach stron-

nictwa zachowawczego, na pozór bardzo praworządnego. Anarchją tą była samolubna, podstępna i demagogiczna polityka kasty panującej, niezmiernie mało licząca się z dobrem ogólnym, dbająca bezwzględnie o doraźne interesy własne, bez troski o szczęście całości. Nie potrafiły jej niegdyś wykorzenić liberalne patenty cesarza Józefa II-go, ani despotyczne zarządzenia Metternicha; w dobie konstytucyjnej do dzisiaj uporać się z nią nie mogą ustawy konstytucyjne. Trwała bez przerwy za patryjarchalnych czasów świętej propinacji, trwa dzisiaj przy rozdzielaniu koncesji szynkarskich.

Rzecz zdumiewająca! Mimo bankructwa moralnego i materjalnego gospodarka kastowa panuje nad Galicją w całej pełni, daje ton zasadniczy polityce krajowej, poglądom społecznym i moralnym. Niemało przyczynił się do tego sejm kurjalny i władanie naczelnymi stanowiskami rządowymi, ale jeszcze bardziej nadzwyczajne zdolności intryganckie i demagogiczne dobrze płatnych obrońców anarchji i nieporządku. Intryga okłamuje uczciwych; demagogja usypia rozum, budzi instynkty, podnieca fałszywie ośrodki uczuciowe. Wyniki łatwo przewidzieć.

Jeżeli przypomnimy sobie z przed lat kilku kampanję anarchji czyli stronnictwa zachowawczego przeciw reformie wyborczej do parlamentu, ujrzymy dotykalny objaw demagogji, która interesy samolubne zasłaniała krzykliwie płaszczem obrony interesów narodowych. Gdy zanosiło się na reformę prawa małżeńskiego podług wzorów wszystkich bez wyjątku oświeconych społeczeństw na świecie, krzyczano, że pogwałconą zostanie religja. Każdego ruchliwszego pracownika, jeżeli nie należy do stronnictw zachowawczych, obwołuje się ateuszem, heretykiem i półpolakiem i t. p. Zakorzeniła się w tym względzie najprzewrotniejsza nietolerancja.

Nie nowy to niestety obyczaj. Już stary Rej pisał: „u nas, kto pracuje, zaraz heretyk“. Złym synem ojczyzny nazywano Modrzewskiego, heretykiem Konarskiego, farmazonami twórców sejmu czteroletniego i powstania kościuszkowskiego. Na gruncie specjalnie galicyjskim kłody rzucano pod nogi i ścigano prześladowaniami pierwszych organizatorów Towarzystwa szkoły ludowej, Sokoła, czytelń wiejskich i t. d. i t. d. Ciemne masy do niedawna albo o niczym nie wiedziały, albo kalumniom wierzyły. Inteligencja z małymi wyjątkami spała albo — co gorzej — nauczyła się obłudy. I tak panowała i panuje nieprzerwanie rzeczpospolita babińska.

Stronnictwo zachowawcze zdawało sobie sprawę, że w walce z światopoglądem europejskim musi szukać sprawnych sprzymierzeńców. Miały być nimi: ciemnota mas, pozyskanie nietrudne duchowieństwa i zdemoralizowanie inteligencji.

Kto zna wojnę z szkołą ludową i średnią, jaką konserwatyści prowadzili w sejmie i poza sejmem, nawet w samej radzie szkolnej, której przewodzą, ten wie dokładnie, jak bezprawnych i drakońskich używali środków, ażeby rozwój szkoły powstrzymać, ażeby zatruć nauczycielstwo, ażeby dzieło oświaty narodowej jak najdłużej unicestwiać lub przynajmniej paraliżować. Wypaczano w tym celu ustawy zasadnicze, tworzono dwutypowe szkoły ludowe: inne dla miast, inne dla wsi, wymyślano dwutypowe seminarja, nie dopuszczano długo do poprawy bytu nauczycielstwa ludowego, przenoszono tłumnie nauczycieli w porządku administracyjnym, — słowem nie cofano się przed niczym. Dola szkoły ludowej i jej nauczycielstwa — to prawdziwie księga martyrologji oświaty polskiej. Jeżeli żywego prądu zabić nie zdołano, stało się to dzięki Wiedniowi, dzięki ofiarności i męczeństwu mnóstwa jednostek, wskutek niemożności powstrzymania wezbranej fali życia. Ale z ran zadanych i zadawanych długo jeszcze szkoła galicyjska będzie się leczyła. Wojny bowiem nie zaniechano, a tylko wprowadzono nowe czynniki demagogiczne, upór nieprzejednany zasłonięto maską obłudnika. Wszak żyjemy dotychczas w kraju analfabetyzmu.

Duchowieństwo galicyjskie szło zawsze w zgodzie z warstwą konserwatywną za ery autonomji. Powodowała to zależność od kolatorów, sąsiedzkość towarzyska, wspólna obawa przed oświatą ludową i demokratyzacją społeczeństwa, nareszcie niski stan wykształcenia u duchowieństwa. Wiadomo, że seminarja duchowne zapełniają w ogromnej przewadze ośmioklasiści, często bez matury, z gimnazjów prowincjonalnych, z rodziców włościańskich i małomieszczańskich. Do szkoły przynoszą chęci dobre, lecz kultury niewiele. Gimnazja prowincjonalne wtłaczają w tę młodzież mnóstwo niepotrzebnego balastu i zabijają przeważnie indywidualność. Tak spreparowanego młodzieńca zamykają następnie umysłowe i fizyczne kraty seminarjum, aby go wypuścić po czterech latach w świat na przewodnika dusz ludzkich i kierownika społeczeństwa. Czy młodzieniec taki potrafi wnieść w życie jakiekolwiek nowe wartości, zbyteczna odpowiadać. Jak je wprowadzi, gdy sam ich nie zna, gdy oduczył się myśleć samodzielnie. Nie zdoła tego uczynić mimo najlepszych chęci. Wyjątkowe jednostki potrafi stłumić lub zdobyć zaszczytami władza duchowna; ogółowi pozostają słodkie wczasy na plebanji i sława kaznodziei odpustowego.

Bierność umysłowa lęka się nowatorstwa, które do myślenia zmusza. Stąd pochodzi owo ścisłe małżeństwo klerykalizmu z konserwatyzmem, którego skutki Polska odczuwa silniej niż jakikolwiek inny naród na świecie, sojusz dla zbiorowego życia narodu niezmiernie szkodliwy, powstrzymujący zdrowy postęp społeczny i rozwój demokratycznej idei miłości bliźniego. Zauważył to już przed stu z górą laty Hugo Kołłątaj, gdy dziwił się, że duchowieństwo niższych stopni, ludowego przeważnie pochodzenia, pracy nad ludem przeszkadza i staje wrogo przeciw własnej krwi. Dzisiaj dokładniej rozumiemy przyczyny, dlatego nie dziwimy się, lecz tylko konstatujemy fakty. Poznanie zaś faktów prowadzić powinno do szukania środków zaradczych, do zapobieżenia niewoli duchowej i marazmowi społecznemu. Prawda ta musi się w Polsce rozpowszechnić, jeżeli chcemy myśleć na serjo o odrodzeniu narodowym.

Demoralizowanie inteligencji było trzecim środkiem, przez który anarchja trzymała się u steru i trzyma się dotychczas bez głębszej zmiany. Niejeden czytelnik przypomni sobie z własnego życia, jak mu za młodu mówiono, że można być karciarzem, pijakiem, kubaniarzem, że nic to karjerze nie zaszkodzi, nawet pomódz może, byleby żyć w zgodzie z konserwatystami i duchowieństwem. Obserwacja stosunków wykazywała, że tak było w rzeczywistości. Grzechem, radykalizmem była myśl samodzielna, prawdomowność, uczciwość i bezin-

teresowna praca dla ogółu. Niestarzy są jeszcze profesorowie uniwersytetów, którym ówczesny wiceprezydent szkolnictwa odmówił suplentury dla takich właśnie „radykalizmów“.

Kto tedy chciał żyć na urzędzie, a urząd jest niestety wszystkim dla „inteligenta“ galicyjskiego, ten musiał milczeć lub przywdziać maskę obłudy i tworzyć z siebie karykaturę człowieka. Im lepszą maskę nosił i innych zmuszał do tego, tym wyżej wspinał się po szczeblach karjery urzędniczej, tym milej był widziany w bagnie komedjantów i faryzeuszów. Kłamstwo stało się istotnością dla urzędnika galicyjskiego. Zdarzało się niestety, że łączyło się z nim obrzydliwe lizuństwo i „pobożne“ szpiegostwo. Mógłby ktoś zarzucić, że zbyt czarne farby wzięliśmy do malowidła. Jest — na nieszczęście — raczej przeciwnie, boć nie chodzi tutaj o agitację, lecz o uświadomienie sobie istniejącego stanu rzeczy, który bolesnym smutkiem napełnia każdego dobrego obywatela kraju. „Bo zginąć musi naród nikczemny“ — powiedział już Stanisław Staszic.

E pur si muove. Są niewygasłe źródliska życia w zbiorowej duszy narodu. Pod terrorem anarchji wielkopańskiej, pod torfowiskami ciemnoty klerykalnej pracowało życie, wyrywała się do słońca myśl demokratyczna, dusza polska nabierała sił w znojnym trudzie ucisku i męczeństwa. Jak kwiaty na ugory, moc jakaś wewnętrzna wydobywała ofiarnych pracowników na powierzchnię życia narodowego. Jako zapowiedź lepszej przyszłości pojawiali się oni we wszystkich stanach i warstwach społecznych. Brali na ramiona słodkie brzemię twórczości narodowej, słowem i czynem rozniecali światło, budzili nadzieję, śpiewali pieśń życia.

Dr. A. LISIEWICZ.

NASZ SEJM.

III.

Nadeszły chwile, gdy nie było już wcale mowy o byłym sejmie stanowym, a śmiała myśl polityczna Franciszka Smolki przekroczyła widnokręgi galicyjskie i stała się naprawdę polską.

Już 18. marca 1848 postawił Lwów, zapomniawszy o swej niedawnej niewolniczej roli, szerokie żądania, dźwigające odrazu na wspaniałe wyżyny gmach odrodzenia narodowego. Warto przypomnieć w dzisiejszej dobie zachwytu nad wszystkim, cośmy już zdobyli, ówczesne żądania Lwowa. Brzmiały one: 1. Gwarantowanie polskiej narodowości, a więc zniesienie wszelkich jej swobodnemu rozwijaniu się na zawadzie stojących ograniczeń. 2. Oddzielna administracja prowincjonalna. 3. Powszechna polityczna amnestja. 4. Rewizja konstytucji stanowej i reprezentacja wszystkich klas mieszkańców na sejmie. 5. Zniesienie cenzury. 6. Powszechne jak najprędsze uzbrojenie miast. 7. Udzielenie ustawy municypalnej na jak najszerszej podstawie. 8. Powszechne zaprowadzenie szkół dla ludu. 9. Publiczne i ustne sądownictwo ze sądami przysięgłych. 10. Zupełne zniesienie pańszczyzny i wszelkich powinności. 11. Całkowita równość obywatelska. 12. Obsadzenie urzędów krajowcami. 13. Wojsko krajowe ma stać w kraju i być narodową milicją.

Ci, którzy wraz ze Smolką autorem zdobyli się na zatwierdzenie i podpisanie tego doniosłego aktu politycznego, nie byli legalnie wybranymi reprezentantami narodu.

A jednak historja śmiało zalicza ich do grona najlepszych synów ojczyzny i myśl tęskniąca do wyżyn duchowych mimowoli chce wyrzec: te żądania stawiał na pewne chyba **nasz** sejm ówczesny!

Przeminęła owa piękna doba. Wiosna ludów zamarła w potokach krwi i łez. Długi sen zimowy i twardy ucisk zapanował znowu wszędzie i nad naszą ziemią. Ale posiew lat 1848—49 nie poszedł na marne.

I oto już w lat kilkanaście później doczekaliśmy się chwili, w której znowu zebrała się we własnej niby chacie prawowita reprezentacja tego kraju, wybrana na zgoła odmiennych i szerszych niż ongi podstawach, oparta nie na kapryśnej woli absolutyzmu, ale na trwałym fundamencie ustaw, poręczonych konstytucją. Oprócz wolnego słowa, które od dziesiątków lat zdobywa sobie powszechne prawo obywatelstwa, cały szereg organizacji wypełnia treść i istotę życia publicznego.

Jednym słowem można pracować z pożytkiem dla kraju i narodu i można kłaść podwaliny dla przyszłości.

Co ciekawsze, Polacy — niebezpieczni ongiś spiskowcy i buntownicy, stali się podporą rządu w państwie austrjackim, a różni wielmoże, ministrowie i dygnitarze polskiej narodowości, z uśmiechem pobłażania czytają może żale swych przodków, którzy „nie mieli szczęścia przez piastowanie urzędów stać bliżej tronu.“ Wszak dzisiaj to szczęście tak łatwe do zdobycia!

Polityka dzisiejszej doby jest machiną bardziej skomplikowaną i liczne jej sploty tak ogarniają całokształt naszego życia i naszych przeróżnych nadziei, że może i na to dzisiejsze szczęście, przynajmniej w zaborze austryjackim, spoglądają różni nasi myśliciele z pewnym pobłażaniem i żądają w zamian za nie tylko realnych zdobyczy dla kraju i nie przekraczania granic godności narodowej.

Ale myśl krytyczna najnowszej doby, pobudzona wypadkami, które tak świeżo rozgrywały się wśród najserdeczniejszego łona naszej ojczyzny, a nas zastały słabymi i zupełnie bezradnymi, z lękiem spogląda na karty półwiekowego bezmała naszego samorządu w dobie konstytucyjnej.

Jakże wysokim był lot pierwszego dziesięciodniowego sejmu z roku 1861, tego sejmu pośpiesznie zebranego, sztucznie utworzonego, który nie miał za sobą żadnych doświadczeń ani tradycji konstytucyjnych, sejmu, który wiedział, że ma tylko kilka dni do obrad, a musi kłaść podwaliny pod budowę samorządu krajowego? Toż ten sejm, nie oparty jeszcze o zasady nietykalności i nieodpowiedzialności posłów, już przy sprawdzaniu wyborów śmiało i po imieniu godził w różnych dostojników i urzędników rządu, którzy nielegalnymi środkami i podstępem narzucali mu potrzebnych dla Wiednia posłów.

Ten sejm w ciągu dziewięciu zaledwie posiedzeń musiał wysłuchać i skarg narodowościowych i bezmiernych żalów w sprawie lasów i pastwisk i wielu nawet skarg osobistych, a jednak znalazł czas na rozprawę programową o podstawach praw samorządnych, nie dał sobie okroić z góry zdobytych właśnie praw i przez usta licznych reprezentantów zaprotestował przeciw sztucznemu podziałowi na stany. Ten pierwszy sejm stał tak wysoko, że mając narzucony sobie wybór posłów do wiedeńskiej rady państwa, zastanawiał się nad tym, czy wogóle warto do Wiednia posłów wysyłać, czy z tego będzie dla kraju pożytek? Ten sejm uchwalał co szybciej i żądał dla siebie rozszerzenia praw i wołał ku Wiedniowi śmiało: „Wróćcie nam warunki naszego bytu narodowego, a my wam wrócimy potęgę waszą złamaną, my wam wrócimy wasz urok stracony, wasze skarby wypróżnione, wasz byt zachwiany. Boć jakże was mamy zasilać, gdy sami upadamy pod razami waszej samowoli?!“

Takimi byli ówcześni nie tylko Smolkowie, Ziemiałkowscy, Dietle i Zyblikiewicze — ale takimi byli także Sapiehowie, Borkowscy, Potoccy i Smarzewscy.

Jeszcze nie zapomnieli tam pożaru, co się na okół przewalał, jeszcze świeżym było echo pamiętnego dnia kwietniowego Warszawy....

Lecieli w górne sfery, ku słońcu, chcieli zdobywać prawa i zdobywali!

Po zdobyciu pamiętnych grudniowych praw konstytucyjnych już tylko rok 1868 i kilka następnych przypomina nam epokę walki o prawa wysokie, o rzeczywisty samorząd, o istotną odrębność. Jeszcze rewolucjonista z roku 1848 nie zapomniał sztandaru, pod którym walczył podówczas, jeszcze towarzysze broni z roku 1863 pamiętają, że myśl polityczna musi wybiegać po za kordony i tworzyć podwaliny dla przyszłości, zdobywać prawa, stanowiące fundament odrębności i rzeczywistego samorządu.

Ale już narzucona we Wiedniu chwila wyborów bezpośrednich do nowej Rady państwa i stanowcze zwrócenie oczu ku blaskom wiedeńskiego parlamentu, owej jedynej dla naszego narodu trybuny europejskiej (jak wielcy politycy galicyjscy często się wyrażają) — to chwila przełomowa dla całej naszej polityki tutejszej. Przy tobie stoimy i stać chcemy! — nowe wstaje hasło. Precz z mrzonkami! Systematyczna praca organiczna u podstaw wybawi kraj i naród. I oto zaczyna się stałe, konsekwentne obniżanie lotu. Myta, mosty, szarwarki, tępienie ostu i kanianki — to tematy zadań, a w ślad za tym lekceważenie sejmu i jego zadań, ograniczanie praw, o które nikt śmiało upomnieć się nie zdolny. I nie żaden przewrotowiec, ani socjalista, tylko „książę“ Sapieha rzuca temu sejmowi gorycą zaprawne słowa: Siły naszej szukamy w Galicji i Lodomerji, a zapominamy, czym jesteśmy!

Przeminęło pół wieku, spadały głowy koronowane, zmieniała się karta Europy, a my nie zdobyliśmy żadnych praw, tylko czekaliśmy łaski ze stołu pańskiego. Myśmy nie tylko sami nie zdobyli praw, ale także myśmy sami sobie ich nie stworzyli. Pół wieku minęło a jeszcze niema gminy wolnej, jeszcze są obszary dworskie na odrębności praw i przywilejów oparte...

Czy naszym jest ten sejm, który nie zdobył się na stworzenie silnej gminy i nawet tej najwalniejszej podstawy dla własnego samorządu nie zbudował? Czy naszym jest ten sejm, który przez pół wieku nie wytępił analfabetyzmu i pociesza się złudnymi nadziejami, które za drugie pół wieku spełnić się mają? Czy naszym jest ten sejm, który gwoli zachwalanej równości obywatelskiej stwarza odrębne chłopskie, a odrębne pańskie wykształcenie, dziesiątki lat targuje się o każde polepszenie bytu nauczyciela i zabrania mu wszelkich istotnych swobód obywatelskich?

Czy twórcza myśl tego sejmu uratowała krajowi nasze góry i lasy, czy uratowała skarby Borysławia i Tustanowic, czy w zagłębiu krakowskim stworzyła las kominów fabrycznych i ochroniła kraj od najazdu obcych? Czy świeżo od własnych rodaków nie słyszeliśmy całego szeregu skarg i żalów na nasze zdrojowiska, którymi kraj przez dziesiątki lat nie zdołał się zaopiekować i nie chciał stworzyć zdrowego źródła przemysłu i bogactwa własnego?

Obniżył się lot, spadły wymagania, marnieją hasła i ludzie. Brak nawet wszelkiego poczucia zbiorowej godności. Przedstawiciel rządu z góry zapowiada, do jakich granic wolno marzyć o reformie wyborczej i wszyscy pokornie skłaniają głowy. Posłowi wymawia urzędnik państwowy, że podpisał interpelację niemiłą dla władzy i mimowoli rzuca mu prawdę w oczy: tu nie parlament! I to naturalnie przechodzi spokojnie w tym sejmie, w którym obawa przed namiestnikiem, czy też przed innym dygnitarzem zamyka usta, ogłusza uszy na głos prawdy, wyrywa pióro z ręki w chwili, gdy podpisem trzeba bronić praw obywatelskich od pogwałcenia.

Czyż z głębi duszy można zatem rzec mimo wszelkiego szacunku dla poszczególnych wybrańców, zasiadających w sali sejmowej, że ten sejm w całości swej jest naszym, że odtwarza istotnie duszę współczesnego narodu polskiego, że dogadza słusznym jego aspiracjom? Czy może być naszym sejm, który bez względu na to, co się na okół dzieje i co najbliższa przynieść może doba, nie chce wznieść się na wyżyny twórczej myśli polskiej, ale z bezprzykładnym uporem broni resztek średniowiecznych przywilejów jednej tylko i nielicznej warstwy społecznej?

Czy naszym jest ten sejm, który w chwili, gdy rozum polityczny każe dać całemu narodowi pełnię uprawnień politycznych, chwilę tę przewleka w nieskończoność i jakby na przekór świetlanym momentom z przeszłości i z marną niewiarą w przyszłość przedewszystkiem wyszukuje i obmyśla kagańce na wolne słowo?

Zaiste, mimowoli cisną się na usta prorocze słowa wieszcza:

Naród cały hasła czeka,
A krzyk pierwszy z ust człowieka,
Był krzyk: stójmy! był krzyk strachu.
— — — — — — — —
Na Boga!
Skądże taka w tobie trwoga
I od ludu rów i przedział?!

IV.

W zarzutach, które dotychczas podniosłem, nie mieści się bynajmniej zapoznanie istotnych prac sejmowych. Niesłuszne zarzuty i niepomyślną ocenę zdobyczy, jakie kraj porobił w dziesiątkach lat ostatnich, potępiam najusilniej. Niedawno temu na wielkim zebraniu rodaków za oceanem dałem wyraz prawdzie, podnosząc z radością wybitne i budzące otuchę momenty w rozwoju kraju na wielu dziedzinach pracy ekonomicznej i społecznej.

Ale dla narodu polskiego droga pracy, zmierzającej ku pełnemu odrodzeniu jest zgoła odmienna, aniżeli w krajach zasobnych w środki i uposażonych w pełnię swobód. Nam trzeba i odrobić wiekowe zaniedbania i walczyć na różnych frontach i stać na czujnym posterunku myśli ogólno - narodowej.

Męski czyn musi pospiesznie następować po krótkiej deliberacji.

Kiedy wypadki polityczne ubiegłego stulecia przyniosły nam kreację Księstwa warszawskiego, ówczesni polscy mężowie stanu poczęli rozważać, czy nowemu państwu przywrócić konstytucję 3 maja, czy dawać poprawki, odpowiadające duchowi czasu, czy wreszcie powołać komisję konstytucyjną? Umysły wszystkich zaprzątała głównie kwestja włościańska.

Rozstrzygnął rzecz, przewlekającą się niebezpiecznie, czyn gienialnego co prawda człowieka, człowieka, co nie miał w swej duszy wątpliwości, co umiał burzyć, ale i budować.

Napoleon podyktował na poczekaniu dla Księstwa konstytucję, którą rząd Księstwa przyjął w całości. Poddaństwo włościan zostało zniesione. *L'esclavage est aboli!* podyktował Napoleon i jednym krótkim, mocnym zdaniem rozstrzygnął wątpliwości, zbudował wielką rzecz. Historyk, przypominający ten epizod, dodaje następujące słowa Kołłątaja: „Został się dla całego narodu wstyd, że tę sprawiedliwość ludowi naszemu oddał dopiero powszechny Europy prawodawca, na którą my sami nie mogliśmy się zdobyć“.

I znowu nasuwa się pytanie, czy i nasz sejm zdobędzie się w dzisiejszej dobie na męski czyn, czy woli późniejszy wstyd?

Księstwo warszawskie przetrwało tylko lat osiem, a historja mówi, że w tym okresie całe życie publiczne strzeliło tam bujnym kwiatem, że uporządkowano i skarb publiczny i administrację, zorganizowano dzielne wojsko, wzniesiono setki szkół, rozbudzono ofiarność narodu do niezwykłych granic.

Spadek po Księstwie warszawskim odziedziczyło Królestwo kongresowe, a każdy wie, jak twórczo i ożywczo w dalszym ciągu działały na kraj soki z kreacji napoleońskiej roku 1807.

Każdy też wie, że promienie wolnej myśli szły podówczas po przez kordony w cały naród, zagrzewały ludzi stęsknionych do wolności, do bohaterskich walk, do bezgranicznych poświęceń. Na tym podłożu wyrastały pokolenia, dla których idea złamania despotyzmu była świętą, które po upadku powstania listopadowego mogły w pamiętnym manifeście z r. 1836 głosić ludom Europy: „Wszyscy ludzie równe mają prawa i równe powinności, wszyscy są braćmi, wszyscy dziećmi jednego ojca-Boga, wszyscy członkami jednej rodziny — ludzkości“.

Oni to już głosili: „przywilej, jakimkolwiek nazwiskiem okryty, jest wyłamaniem się z pod ogólnych powinności, lub przywłaszczeniem jakiego prawa, jest zatym negacją równości, zgwałceniem natury“.

Oni także z głęboką wiarą w przyszłość proroczo przepowiedzieli rok 1848: „Z nieśmiertelnym duchem Polski sprzymierzyły się ludy i na tej samej mogile, na której absolutyzm piekielny zawarł związek, bratnie podały sobie ręce“.

Oni wreszcie zamknęli wyznanie swej wiary jednym wielkim proroctwem: „Odrodzona, niepodległa Polska demokratyczną będzie“!

Spełniły się wszystkie przepowiednie wielkich tułaczy, obrońców wolności, spełnić się musi i ostatnia.

Czy nasz sejm zechce iść po drodze, jaką nam wskazali bohaterscy przodkowie? Czy zrozumie wołanie czasu, czy zechce wznieść się po nad sejm stanowy, po nad rozkazy z gubernium, czy zechce być istotnie naszym sejmem?

B. KOSTECKI.

UWAGI ŻOŁNIERZA O REWOLUCJI PORTUGALSKIEJ.

Na biedne, skołatane panowaniem głowy monarchów spadł nowy cios: spisek w Portugalji. Spisek zwycięski, zorganizowany i przeprowadzony z większą mądrością i sprytem, niż codzienne spiski tajemniczych, a przynajmniej chcących uchodzić za takie, gabinetów ministerjalnych. Monopol udatnej konspiracji wymyka się coraz częściej z rąk powołanych i umundurowanych po temu ludzi. I to jest ich najistotniejszą tragedją w epoce Bleriota i karabinów maszynowych.

Ale nie tylko legalni władcy spaźniają się niepoprawnie z pojęciami i sądami o potędze spisku, opartego na sympatji szerokich mas ludowych. Wszędzie, prócz tego i w Polsce, istnieje uboga duchem plejada opozycjonistów - organiczników, którzy dość mglisto uzasadniają teorję o pieczo-

nych gołąbkach, natomiast głośno krzyczą i ciemno świecą kagańcem oświaty dla ułatwienia niepewnej drogi ptaszkom z mistycznej kuchni. Niestety, napróżno! Dla tych beznadziejnie dobrych polityków wszelki spisek jest szaleństwem, każde zabójstwo polityczne — pospolitą zbrodnią, mordem z za węgła, który w dodatku do niczego nie doprowadzi. Dopiero po dokonanym gdzieś fakcie, n. b. jeżeli był zwycięstwem, gorączkowo szuka się argumentów i znajduje. Przy dobrej woli i chęci wszystko znaleźć można. A więc najspecjalniejsze a korzystne wyjątkowo warunki zewnętrzne, nieporadność rządu (u nas inaczej, oho!), wreszcie udział rządowego wojska w powstaniu. Za odstraszający zaś przykład służy naodwrót niezmiennie rewolucja rosyjska, Azef, Szmidt i t. p.

Wobec tego jest rzeczą zupełnie jasną, że gdyby rewolucja polityczna drogą spisku miała zagwarantowane wszystkie szanse zwycięstwa, wszyscy opozycjoniści staliby się spiskowcami. Cóż, kiedy każda wojna jest grą, która wymaga wysokiej stawki — bo życia własnego i wzamian nie daje pewności wygranej. Na barykadzie, do której nikt nie myśli strzelać, stanąłby z przyjemnością i bohaterskim giestem każdy przeciwnik spisku. I jeśliby przewrót polityczny zależał od jednego lub kilku zabójstw konspiracyjnych, jednogłośnie przyznanoby im cechy wzniosłego czynu.

Rewolucja polityczna ma różne środki i drogi do zwycięstwa. Ale ma pewien moment, do którego siłą rzeczy zdąża cały aparat walki: fizyczne zapasy z wrogiem. Oczywiście, że mądry i przewidujący rząd legalny nie czeka wybuchu i stosuje według swojej inteligencji rozmaite środki zapobiegawcze. W Austrji — powszechne głosowanie, w Prusach — żandarma, w Rosji — Azefów. Wartość tych środków nie jest jednakowa; jedne oddalają gwałtowny przewrót w państwie lub wogóle czynią go niepotrzebnym, inne stawiają lud przed iście hamletowskim dylematem: być albo nie być. Ponieważ nikt dobrowolnie nie rezygnuje z korzyści politycznego bytowania, więc tam, gdzie wszelka inna walka jest niemożliwą, obie strony uciekają się do argumentowania pięścią. Z ludu wyłania się zbrojny spisek, trwały, mimo wszelkich prześladowań i prowokacji bezwzględny i groźny dla rządów, jak każda wojna. Zniósł on absolutyzm szachów i sułtanów, zatrząsł potężnie tronem krwawego cara, a teraz najreakcyjniejszy z pozoru kraj w Europie — Portugalję przetworzył w demokratyczną rzeczpospolitą.

Ah, wszak w Portugalji dokonał się przewrót tylko dzięki wojsku! — powie nieuważny czytelnik telegramów gazeciarskich. Pomijając już zupełnie pewne dane co do uczestnictwa tysięcy zbrojnych obywateli w powstaniu, przytoczę tu komunikat monarchicznej gazety Diario Noticias w Lizbonie z 4 b. m. „Godz. 3 rano. Cywilne osoby automobilami popędziły do arsenału armji lądowej, aby go opanować...“ Było to wtedy, gdy wojsko wyraźnie wahało się, gdy pułk piechoty z kartaczownicami obsadził pałac królewski a gwardja municypalna „uspokajała“ energicznie zbuntowany lud. Dalej, nie wojsko izolowało Lizbonę od prowincji, lecz cywilni republikanie, według planu rozumnego i obmyślanego z góry. Żołnierze nie przeszliby nigdy całymi jednostkami taktycznymi na stronę powstańców, gdyby ci nie przedstawiali siły wyraźnej i dającej możność zwycięstwa. Taka jednomyślność całych pułków artylerji i piechoty w kraju analfabetów da się wytłumaczyć nie tyle samą siłą idei republikańskiej, ile strachem przed odpowiedzialnością wobec nowej potęgi i nadzieją na awanse pod tworzącym się rządem. Działa maleńkiej zrewoltowanej eskadry miały tu wielki wpływ, ale wszak one były tylko jednym ze środków rewolucyjnej organizacji, nigdy zaś wszystkim! Bez udziału i kierownictwa spiskowców na lądzie powtórzyłaby się pod Lizboną niedołężna Potiemkinada.

Rząd portugalskich Koburgów posiadał prawdopodobnie, jak rząd Romanowych, tajną organizację szpiegowsko-prowokatorską, rozumie się w odpowiedniej skali. Zresztą bez podobnej organizacji w różnych odmianach nie może się obejść żadna władza polityczna, mająca silną opozycję. Jakkolwiek w tak małym państwie zadanie szpiegów było nierównie łatwiejsze, w porównaniu naprzykład z ogromem ich zadań w Rosji, jednak spisek udał się doskonale. Wczorajsi oficerowie marynarki, którzy za jedno przychylne słowo o buncie poszliby pod sąd wojenny, stają na czele bezradnych żołnierzy i prowadzą ich przeciw kolegom wiernym przysiędze. Teoretyczni dotąd — napozór — republikanie rozwijają potężną działalność organizacyjną i w ciągu kilkunastu godzin stają się panami stołecznego miasta. Tylko ignorantowi może się wydawać, że wszystko to stało się bez uprzednich celowych przygotowań konspiracji, że żywiołowy ruch mógłby był tak sprawnie działać. Przeciwnie, jak czyta się zresztą w telegramach, większe masy były i pozostały biernymi, wskutek swej ciemnoty, natomiast walczyło tylko parę tysięcy ludzi pod kierownictwem nieujawnionych dotychczas osób.

W Rosji prowokacja ubezwładniała spisek i przeszkadzała wszelkiej planowej akcji; prócz tego na przegraną wpływały inne jeszcze czynniki, o których powiemy dalej. Czyż jednak z tego powodu, że gdzieś ktoś przegrał wojnę — wyrzekają się jej politycy i jenerałowie? Albo spisek rozrasta się w planową rewolucję i niszczy dawny rząd, albo jest sam zniszczonym czasowo i częściowo. Nieubłagana logika, ale bynajmniej nie druzgocząca ideowych konspiratorów. Jutro zawsze przed nimi. Ujarzmiony i cierpiący naród, który nie posiada zbrojnego spisku — jest trupem.

O ile bezczynne oczekiwanie na wybuch żywiołu lub rewolucję czysto wojskową bywa zgubne dla sprawy, można przekonać się rozpatrzywszy, choćby pobieżnie, ostatnie powstańcze ruchy w Rosji. Widzimy tam chaos strejków i zaburzeń agrarnych, niknących bez trwałego wpływu na stan rzeczy — szereg buntów wojskowych, stłumionych krwawo, wreszcie jedno jedyne planowe powstanie w Moskwie, które upadło wskutek zdrady Azefa. Dalej, poszczególne, nie skonsolidowane w całość powstania na Litwie, Kaukazie i Syberji, wreszcie ciągła i niezmordowana akcja bojówki PPS. Wszystko to, jakby naprzekór prawu wojny, rozłaziło się w różnych kierunkach i okresach czasu, bez ścisłego kontaktu i ogólnego planu, którego nikt nie przygotował. Nic więc dziwnego, że nawet Rennenkampfy, Dubasowy i inne płotki wojskowe z łatwością zwyciężały. Głód gonił do pracy, bagnet do kominków domowych lub turem.

Zbuntowana i silna eskadra czarnomorska mogła bez trudu zapanować nad Odessą, miastami

południowej Rosji, zachodniej części Kaukazu i nad całym resztą pobrzeżem. Pod osłoną 12-calówek mogły sformować się regularne oddziały powstańcze. Broni w arsenałach nie brakowało, a przy powszechnej służbie wojskowej każdy obywatel jest fachowym żołnierzem. Na terytorjum Rosji byłby to już bezpieczny plac zboru dla dezerterów wojskowych i całych zrewoltowanych jednostek organizacyjnych armji. Jaki wpływ moralny i fizyczny miałoby to pierwsze zwycięstwo — zbytecznie chyba objaśniać. Ba, kiedy tam działał sam rozpętany żywioł; oficerów powrzucano do wody, a innych na stałe nie wybrano; marynarze przeprowadzali formalne dyskusje nad rozporządzeniami prowizorycznych naczelników, głosowali nad każdym wnioskiem o wypuszczenie ładunku w powietrze, aż wkońcu znaleźli się w Rumunji. Gdyby później rewolucja wygrała, nowy rząd, podobnie jak i stary, powinienby ich rozstrzelać... za nieumiejętność. Żołnierz w swoim zakresie pracy nieumiejętnym być niema prawa, a pierwszą literą jego szkolnego alfabetu jest mieć naczelnika, któremu bezwzględnie podlega. Portugalczycy to zrozumieli i szarej masie żołnierskiej, opuszczonej przez bezpośrednią władzę, dali natychmiast oficerów marynarki. Kto wie jednak, czy na Potiomkinie był choć jeden człowiek, zdolny do objęcia władzy nad rozhukanym „demokratyzmem“ żołdaków, spuszczonych z łańcucha i nie mających żadnej przeciwwagi w karnych oddziałach powstańczych, bo tych nie było wcale. A gdyby się i znalazł taki tytan ducha i pięści, pierwszym jego zadaniem byłoby stworzyć republikańską zbrojną organizację na lądzie, czyli uczynić to, co powinno być zrobione oddawna, wbrew wszelkim „żywiołowym“ pseudorewolucjonistom i wbrew Azefom.

Spisek portugalski działał umiejętnie i planowo. Dlatego w odpowiedniej chwili podniósł się do znaczenia rewolucji i wielkiej wojny domowej — i zwyciężył! Taki jest nieunikniony rezultat każdego spisku, choćby ciągnącego się przez kilka pokoleń, w tych warunkach, w których wszystkie inne drogi do zwycięstwa są zamknięte.

My, Polacy, możemy się poszczycić naszymi spiskami. Wprawdzie tylko ich obecnością w porozbiorowych dziejach narodu, wskazują one jednak na niezbity fakt naszej żywotności i dążeń wolnościowych. Od spisku w Barze i „sycylijskich nieszporów w Warszawie aż do ostatnich akcji bojowych PPS przewija się przez szare tło niewoli czerwona nitka buntu. Z dumą słyszymy od wrogów, że każdy Polak jest buntownikiem, choć zdanie to nie zawsze bywa prawdą; bywa nawet obelgą dla „nowoczesnego“ Polaka lub denuncjanta z któregoś z pism „narodowych“.

Nasze spiski zbrojne były zawsze obmyślane planowo i miały jeden cel: wyparcie najeźdcy z kraju. I to jest ich istotną wartością. Natomiast samo przeprowadzanie akcji insurekcyjnej bywało zwykle niedołężne — i dlatego nas bito. Piotr Wielki długo uczył się zwycięstwa od wrogów na własnych porażkach, aż wreszcie zniósł przeciwnika. Naród nasz uczy się podobnie sto kilkanaście lat. Stosuje coraz nowe formy walki orężnej, coraz nowe siły budzi do życia. I zwycięży.

Obecnie polski ruch zbrojny zwracać się może tylko przeciw rządowi rosyjskiemu. Niepodobna przeprowadzić analogji między świeżym przykładem rewolucji portugalskiej a przyszłym powstaniem polskim w Królestwie, gdyż wtedy wkroczylibyśmy w sferę fantazji. Zresztą byłby to zbyteczny trud. Jak wiele innych — rewolucja portugalska wykazała dobitnie, że chcąc zwyciężyć trzeba mieć silną i zbrojną organizację, gotową w każdej chwili do czynu. Trzeba — mówi Słowacki — mieć myśl skierowaną wiecznie, jak ostrze sztyletu, w pierś wroga. Trzeba czuwać nie z „mądrym kompromisem“ w zanadrzu i frazesem w gębie, lecz z palcem na cynglu karabina! Tego nas uczy zwycięski spisek portugalski.

A. STRUG.

MOGIŁKA. 3)



Siedzący przy ogniu byli to przeważnie „państwo“, prócz jednego wachmistrza Smyczyńskiego, który był gajowym. Było tam dwóch urzędników, pisarz od rejenta, uczeń aptekarski, syn dzierżawcy, subjekt sklepowy, dwóch praktykantów gospodarskich, synów szlacheckich — sama młodzież. Najstarszym z tej kompanji był pan Chądzyński, młody nauczyciel gimnazjalny, bardzo szanowany w partji za swoją uczoność i za to, że był poetą, który nawet drukował swoje utwory w gazetach warszawskich. Szanowano go i za męstwo, którego nieraz dał dowody, ale lubiono w partji pokpiwać i z jego uczoności, i z poezji, a nawet i z tego męstwa, które było też jakieś zbyt poetyczne i zanadto nadzwyczajne. Szanowano go i za to, ze prowadził djarjusz partji w wielkim notesie i że zachowa dla historji ich nazwiska, zasługi, bitwy i cierpienia. Ale pozwolono sobie pokpiwać i z tego pamiętnika.

Pan Chądzyński, oparty o sosnę, pisał ołówkiem w swoim wielkim czerwonym notesie . . . . „dzień to ostatni i ostatnie są te moje słowa. Czuję to wyraźnie, jak gdybym własnymi oczami

widział moje skrwawione ciało, leżące martwo na ziemi. Widzę zawczasu i poznaję tego „mojego“ niewiadomego sołdata, który niewidzialny zdaleka, porazi mię kulą z za drzewa. Myślę jasno, rozumiem rzeczy niedostępne dla człowieka w innej chwili, jak jeno w takiej godzinie.

Jest we mnie teraz dwóch ludzi; jeden, który zginie dzisiaj — to ten prawdziwy ja. Drugi — ocalony, żyjący długie lata.

Z radością i z dumą patrzę na jego życie. Widzę jego wszystkie czyny i wszystkie myśli. Piękną jest każda jego myśl, płodna jest każda w zarodzie robota. Zewsząd chciwie wyciągają do niego ręce niemocni po klęsce rodacy. To, co im mówi jest prawdą, z krwi i z cierpienia zrodzoną i życie nowe utwierdzającą w jego trudnych początkach. Mocne jego słowo i niezawodna wola. Przez cały młody wiek i przez dojrzały jego wiek aż do najpóźniejszej starości jednakowa i niezłomna jest jego wierność ojczyźnie.

Uczyły go głosy walk ponad siły i gwar bitew, jęki rannych towarzyszy, porzuconych po nocy, wycie tłuszczy kozackiej, łoskot morderczych strzałów i szum lasu nad biwakiem. Widziały jego oczy obrazy męstwa, piękne jak czyny hoplitów greckich, a ginące w przegranej sprawie, wdeptane w ziemię, w dzikim leśnym ostępie, który krzywda dziejów nie da nigdy nazwać Termopylami. Widziały jego oczy obraz ponurych krzywd wojennych. Obraz karanych zdrajców. Obraz spalonego, zrabowanego miasta. Zhańbione kobiety, splugawione kościoły. I czarniejszą od piekła martwą ciemnotę ludu polskiego — niewinnego zbrodniarza, który łańcucha swego czepia się zębami i kąsa rękę, co go spuścić z łańcucha na wolność zamierzała, co mu ojczyznę jego za matkę dać zamierzyła.

Idzie w życie, nauczony mądrości, krwawo i ciężko zdobytej, w dostojnym trudzie aż do śmierci zasłużonej, aż do wiekuistego we chwale odpoczynku . . . .

. . . . . . „Niema we mnie ku niemu zazdrości. Ani goryczy. Ani pokusy, żeby jak dziki zwierz wsunąć się w gąszcze leśne i na własną rękę próbować ocalenia. Szepczą mi głosy złe, żeby się odłączyć samopas, broń porzucić, ślady żołnierstwa z ubrania pozdzierać, i przekradać się cichaczem, nocami, ku gościnnemu dworowi. Jako anioł stróż obiecuje mi zły głos ratunek pewny, opiekę, przechowanie.

Nakazuje mi w imię rozumu, w imię pożytku. Nazywa to, co zrobię, szaleństwem. . . . „Ale są sprawy wyższe nad rozum. Przeto zginę, jak tylu współbraci, zostanę na pobojowisku jak zostały tysiące. Bóg nie dał Polsce zwycięstwa, Bóg każe dzisiaj Polakowi tylko cierpieć i zechciał jeno w mądrości swojej krwi upuścić mojemu pokoleniu. Niechże płynie i moja! Oko Boga liczy trupy nasze — policzy ono i mojego. Nie człowiekowi badać wyroki boskie i odwieczne cele. Niech nasza krew ofiarna obmyje naród ze wszystkich obmierzłości, niech mu otworzy oczy na grzechy ojców naszych. Niechże wsiąknie i ta moja krew w tę łakomą krwi ziemię ojczystą! Niechaj ona ją użyźni ku lepszej przyszłości!

„. . . . . W tej godzinie rozumiem rzeczy dla wielu niepojęte. Nie mam łez nad cierpieniem człowieka, bo cierpienia żąda wyrok nieba. Twardo sprawuje swoje sądy nieodgadniony rozum świata. . .

— Proszę pana Chądzyńskiego, trzaby skoczyć obaczyć, co się robi z pułkownikiem. Czemuż on nie wraca? Trzaby się naradzić w razie czego...

Stary Rykwita był to jedyny chłop w oddziele. Był to chłop prawdziwy, na roli osiadły, nie rzemieślnik wiejski, nie łyk, nie dworak, ani parobek, który za panem, czy za paniczem do powstania poszedł, jeno gospodarz z dziada pradziada. Bijał się mężnie, na panów był zajadły i nosił się ponuro. Dziwna nienawiść była w tym człowieku do pułkownika. I teraz podejrzywał, że „Ruszaj“ po prostu uciekł.

Pan Chądzyński wyrwał swoje myśli jakby z tamtego świata i spojrzał przed siebie. Kilkunastu ludzi chrapało, broń stała w kozłach, a kilku siedziało przy ognisku rozzutych i suszyło buty.

— Nie bójcie się, wróci pułkownik.

— Taki jakiś ten dzisiejszy dzień. . . Kto mądry, ten czuje. A „Ruszaj“ jest mądry! On już wymyślił sobie jakiś przełaz. Dla wszystkich ten sposób za ciasny, ale on jeden przelezie.

— Głupstwo.

— Głupstwo. On pan, jemu wolno. Czemu jednak i pana ze sobą nie zabrał, kiedy mu pan równy.

— Dlatego nie zabrał, że wróci.

— Akurat. Już z godzinę, jak go niema.

— Jeszcze się kartofle nie zgotowały, a u was już godzina.

— Poszedł sobie skrajem lasu ku jakiemu dworowi. Nocą się przekradnie i będzie cały. On wiedział, że my tu zginiemy. Nie dziwi mię, że tych tam ciaraszków za sobą nie wołał, bo to chłystki, ale że pana Chądzyńskiego nie wziął...

Pan Chądzyński wzruszył ramionami i zabrał się do pisania, Ale przy ognisku rozległy się wiwaty i okrzyki radości, jakich od jakiegoś czasu nie bywało w oddziele.

— Wiwat kartofle!

— Panowie wiara, towarzysze, do jedzenia! Ruszaj!

— Gotowe śniadanie. Gdzie sól?

— Wstawać! Bataljon na nogi! Ruszaj!

— Ruszaj!

Wodę odlano z kotłów i w obłokach pary znikło wszystko. Zerwał się i pan Chądzyński.

(C. d. n.).

Z TYGODNIA.

WYPUŚCIĆ! Od dwóch tygodni przebywają w więzieniu krakowskim młodzi Królewiacy, uwięzieni przez naszą policję. Z tego, co dotąd wiadomo, wynika, że czynili oni rzeczy, aż nazbyt zrozumiałe u młodych i gorących patryjotów, że kształcili się poprostu w dziedzinie, którą samo państwo na ścieżaj otwiera przed każdym swym obywatelem, w dziedzinie wojskowych umiejętności. Powierzchowna już znajomość stosunków wyklucza wszelkie podejrzenie, by mieli oni złe zamiary w stosunku do Austrji. Spodziewać się było można, że skoro ich aresztowano, skończy się na drobnych karach policyjnych za przekroczenie tych, lub owych przepisów; tak bywało już nieraz. I oto dochodzi nas wieść zadziwiająca: oto dyrekcja policji skonstruowała oskarżenie przeciw uwięzionym o zbrodnię główną przeciw „państwu sprzymierzonemu“ (byłabyż nim Rosja?) i o związki tajne. Zanosi się więc na sprawę rozgłośną. Sąd polski na polskiej ziemi sądzić ma młodzież polską za myśl o zbrojnej walce za ojczyznę... Byłoby to po upływie lat sześćdziesięciu kilku *pendant* do berlińskiego procesu Mierosławskiego i towarzyszy i równy miałoby rozgłos w Europie. Komu rozgłos ten potrzebny? Austrji stanowczo nie, najmniej zaś Rosji, względem której tak dziwnie jest uprzejmym p. Flatau.

„Naprzód“ przyniósł pogłoskę, jakoby jeden z szefów „ochrany“, pułkownik Trzeciak, bawił był w Krakowie z okazji owych aresztowań i osobiście porozumiewał się z dyrekcją policji. Byłoby to istotnie niezwykłym w dzisiejszym położeniu rzeczy i stawiałoby p. Flataua obok głośnego „informatora“ władz rosyjskich, Kostrzewskiego. To pewne, że gdyby nawet Skałłon mógł zupełnie dowolnie dysponować policją krakowską i umyślił jej użyć, aby zabić potężny prąd sympatji ku Austrji, nurtujący społeczeństwo nasze w zaborze rosyjskim, aby zdyskredytować w oczach Polaków rząd wiedeński, nie wymyśliłby nic lepszego, jak to, co zrobił p. Flatau. Społeczeństwo polskie osądzi, jak należy, działanie na jego szkodę, a korzyść carską. Osądzą je również trafnie w pałacu przy Ballhausplatz.

Dziś, gdy rzecz wyraźnie już stanęła na gruncie politycznym, opinja publiczna domagać się musi jednogłośnie i dobitnie — wypuszczenia uwięzionych Królewiaków na wolną stopę.

O POSTĘP SOCJALNY W GMINIE.

(A) Już cały dziesiątek lat tuła się po Radzie miejskiej myśl, że trzeba zaradzić nędzy mieszkaniowej we Lwowie, pójść po drodze roboty społecznej zachodu, stworzyć tanie domy robotnicze. Myśl zdrowa, duża, cóż kiedy do wykonania jej nigdy nie dążono poważnie. Zaledwie ślad usiłowań jakichś pozostał w uchwale o założeniu „Woli Leona XIII.“ i wstawieniu do budżetu ongiś sumy 5000 koron na początek.

Nadeszły czasy strasznej drożyzny. Pod naciskiem konieczności podniosła Rada płace służby miejskiej. Było to w połowie r. 1909. Wówczas to dr. Aleks. Lisiewicz referując tę sprawę zwrócił na to uwagę Rady, że trzeba zacząć poprawę stosunków od własnego domu, od systematycznego tworzenia mieszkań przedewszystkiem dla wszelkiej kategorji służby własnej, miejskiej. Wniosek uchwalono. Lecz ani prezydjum, ani magistrat zwykłym trybem nie pomyślał nawet o wykonaniu uchwały. Tylko dyrektor zakładów elektrycznych, p. Tomicki przeprowadził badanie stosunków w swoim zakresie i komisji miejskiej przedłożył wyniki ankiety.

Przed kilku tygodniami wybuchł strajk służby tramwajowej, zażegnany podwyższeniem płac. Podczas rozpraw na radzie miejskiej po zażegnaniu strajku podniósł dr. Lisiewicz ponownie, że obecne polepszenie bytu służby tramwajowej wobec ogólnej drożyzny uważa za środek połowiczny i że rozwiązanie kwestji mieszkaniowej dla tych pracowników jest sprawą piekącą. Kiedy więc obecnie po dwóch już pożyczkach inwestycyjnych na rozszerzenie zakładów elektrycznych w kwotach 10 miljonów i 4 miljonów koron przyszła na porządek nowa taka pożyczka w kwocie 6 miljonów, dr. Lisiewicz w imieniu Klubu reformy postawił na pełnej Radzie dodatkowy wniosek w sprawie mieszkaniowej, w tej mianowicie formie, że pożyczkę 6 miljonową podnosi się na 7 miljonów, by objąć programem rozszerzenia zakładów elektr. także budowę mieszkań dla służby w tym dziale zajętej. Przedstawiał, że tu nie idzie o żadne darowizny, tylko o „tanie i zdrowe“ mieszkania, za które pobrany gotowy czynsz daje amortyzację i oprocentowanie kapitału. Wszak dzisiejsze czynsze służby tramwajowej wedle zebranych dat przedstawiają poważną kwotę około 150.000 koron rocznie. Ileż miljonów kapitału można tym zaamortyzować?

Był to wniosek realny. Budować można, jeżeli są pieniądze. Skoro się zaciąga pożyczkę, która wymaga zatwierdzenia, najlepiej rozszerzyć odrazu pożyczkę na cel konkretny, oparty na badaniach i jasny sam w sobie. Apel był próżnym. Przemogła prywata i zawiść fakcyjna. Wprawdzie zapytani z osobna ludzie rozsądni ze wszystkich obozów, a przedewszystkim z koła mieszczan przyrzekli głosować za wnioskiem. Inaczej jednak rozstrzygnął idący do kampanji wyborczej wódz kamieniczników, centurjon strzelnicy p. Neumann. Biegając od Annasza do Kajfasza przedstawiał niebezpieczeństwo dla strzelnicy, gdyby w tak „popularnej“ sprawie przed wyborami wygrał Lisiewicz i klub reformy! Kazał więc głosować inaczej. Dopomogli sojusznicy, referent Feldstein, umizgający się do mieszczan w przeddzień własnego wyboru, chętnie znalazł argumenty w rodzaju Buchmanowskiej rady. Wniosek teraz upadł. Wróci, gdy będzie potrzeba, ale jako wniosek strzelnicy i endeków. Wówczas będzie rozumnym i realnym.

PONIŻONY SEJM. Nad beznadziejną pustką obrad sejmowych zaciężyło oświadczenie namiestnika: rząd nie dopuści do reformy wyborczej, któraby nie polegała na „zastępstwie interesów“, tj. na kurjach. Opozycja lojalnie wysłuchała zakazu, zdała się na wolę rządu i zamilkła. Jedni posłowie ruscy, wrogowie, jak wiadomo, wszelkiego rozszerzenia autono nji kraju, wyzyskali tę sposobność, by protestow ć przeciw dyktowaniu sejmowi praw przez

rząd centralny... Smutna ironja losu zrządziła zabawną przemianę ról. Poza Rusinami, których opozycja w stosunku do władz krajowych plącze się dziwacznie z zakorzenionym serwilizmem w stosunku do Wiednia, niema dzisiaj już zasadniczej opozycji w sejmie. Rośnie buta reakcji. Jurgieltnik jej polityczny, p. Stapiński, wystąpił z mową tak zuchwałą, że ludność o żywszym nieco temperamencie niż mieszkańcy Lwowa — spróbowałaby go chyba zlynczować... Wojak z pod „zielonego sztandaru“ apostołował poprostu — wygłodzenie miast! I to w interesie „małych rolników“, jakby ważniejszym interesem dla chłopa od zwiększonej chwilowo intraty z jednej, czy drugiej sztuki bydła, nie było gospodarcze dźwiganie się kraju, zwiększenie konsumcji, zwiększony popyt na pracę... P. Stapiński obiecywał zwiększenie ilości bydła przez ulepszenie hodowli. Co o tym sądzić, dowiedzieliśmy się z ust jego kolegi klubowego, p. Wasunga, na wiecu publicznym w „Gwieździe“.

Nabrała też buty galicyjska biurokracja. Nigdy jeszcze nie doznał sejm takiego poniżenia, jak teraz właśnie, gdy kraj cały czynu odeń się domaga. Wiceprezydent Rady szkolnej p. Dembowski, mimo awansu do piątej rangi wciąż jeszcze sercem, duszą i charakterem starosta z Mościsk, pozwolił sobie na coś niesłychanego. Interpelowany przez posła Kolischera w sprawie jakiegoś ucznia gimnazjalnego z Kołomyi, odpowiedział, że trudno, aby rzecz popierana przez jednego z podpisanych pod interpelacją o drze Janiku miała być bardzo życzliwie traktowana... Gdy zaś poseł Kolischer odparł dobitnie, że jest tutaj parlamentarzystą, w p. Dembowskim zagrał rycerski animusz tych rotmistrzów, co „fukają na chłopy u pługa“, przypomniała mu się starościńska kancelarja z Mościsk i palnął: „Pan przecież nie jesteś w parlamencie, niech pan tak głośno do mnie nie mówi“. Tego zawiele było i p. Stapińskiemu; i on przecież podpisał interpelację w sprawie dra Janika; wystąpił więc z ostrym protestem przeciw jawnemu wyznawaniu przez urzędnika swej stronniczości. Na niedołężne tłumaczenie się p. Dembowskiego odpowiedział p. Kolischer przytoczeniem całej rozmowy. Tego skandalu nie zdołał zatrzeć sam marszałek; uznał tylko sprawę za załatwioną... Istotnie, prawdziwy parlament, parlament wiedeński, załatwił podobną sprawę nieco inaczej, bo przepędzeniem butnego urzędnika, choć był to wyższy rangą, zasługą i powagą od p. Dembowskiego — minister obrony krajowej.

Więc nowy nasz egzamin dziejowy tragicznie by się przedstawiał, gdyby naszym istotnie był ów poniżony sejm...

WZNOWIONE LIBERUM VETO? W atmosferze samolubstwa stanowego z jednej, niemocy całkowitej z drugiej strony, w atmosferze ogólnego politycznego znieprawienia i serwilizmu, jaka zapanowała w sejmie galicyjskim, nie może zaprawdę zrodzić się inna reforma, jak potworna, cofająca nas wstecz. Takim ma być pono los sprawy reformy wyborczej. Nędzne ustępstwa, rzucone ludowi, ozdobić chcą konserwatyści klauzulą: żadnej na przyszłość zmiany bez zgody wszystkich kurji.

„Nihil novi sine communi consensu trium ordinum: regis, senatus et nuntiorum terrestrium“ — nic nowego bez wspólnej zgody trzech stanów: króla, senatu i posłów ziemskich, powiadała ongi, w r. 1505 pamiętna konstytucja, nosząca w sobie utajone prawne uzasadnienie wszystkiego późniejszego w Polsce nierządu i nieszczęść Rzpltej, nosząca w sobie między innymi nieszczęsne *liberum veto.* Nie mogąc dziś wskrzesić *liberum veto* poszczególnego szlacheckiego warchoła, chcą galicyjscy wielmoże stworzyć *liberum veto* swojej kliki. Czują, że podyktowana przez nich reforma nie zaspokoi słusznych żądań ludowych. Więc ku obronie niesprawiedliwości społecznej stworzyć chcą sobie prawo, by naciskowi z dołu, któryby do samego sejmu się przedarł i przemógł w sejmie, przeciwstawiać na przyszłość krótkie a bezwstydne: *Nie pozwalam!*

Lecz inne nasuwa się porównanie. Zmartwychwstają w pamięci czcigodne postaci Stanisława Małachowskiego, Ignacego Potockiego, Kazimierza Nestora Sapiehy, wodzów Wielkiego Sejmu, mężów, z których każdy „był szlachcicem — i miał prawo!“ Dzieło ich, Ustawa Majowa, przewidywała mądrze i szlachetnie doczesne swoje trwanie, rewizję co ćwierć wieku, ciągłość postępu społeczno-politycznego. Odrywamy oczy od przeszłości, przenosimy je na teraźniejszą nędzę — i chociaż serce pęka, śmiech nas zbiera.

CZY EUROPA MA SKOZACZEĆ? Arcyciekawy dokument wydrukowało świeżo „Słowo Polskie“ list Czerepa-Spiridowicza, prezesa Towarzystwa Słowiańskiego w Moskwie, do jednego z „prawdziwie rosyjskich“ redaktorów; list ściśle poufny, pisany świeżo, bo 16. (26.) września b. r. Głowa najpotężniejszej organizacji panslawistycznej zapowiada w tym piśmie rychłą rozprawę z Chinami, czekającą Rosję za 5—10 lat; wyciąga z owej prognozy wniosek, że w ciągu tego najbliższego pięciolecia należy dokonać — ot sobie, nic tak znowu wielkiego — poprostu unicestwić Turcję i Austrję i przyłączyć do Rosji 40 milionów „Słowian zakordonowych“, wśród których zapanuje język rosyjski „uznany za ogólnosłowiański“. Trzeba w tym celu „Bismarcka słowiańskiego“, którego przyjście zapowiada on, Czerep-Spiridowicz.

Drukując ważne to pismo dodaje „Słowo Polskie“, że stary panslawizm dopiero teraz „ocknął się z zadumy“, do której miała się przyłożyć „rodząca się nowa zgoła koncepcja neosłowiańska“. Wolne żarty, mości panowie! Dziecko każde dzisiaj rozumie, że owa „nowa zgoła koncepcja“, był to tenże sam stary, zachłanny panslawizm, wywodzący się od planów piotrowych „powszechnej monarchii“, a chwilowo kryjący wówczas grzeszną goliznę białą szatką, podaną mu przez wszechpolsko-babińskich dyplomatów. Dowodem jest choćby unia personalna neo- i panslawizmu pod przewództwem Bobrinskiego *et tutti quanti.* Dobrze, że odrzuconą w błoto szatką niewinności p. Dmowski łzy już sobie tylko obciera, i że jasno, nie dwuznacznie objawił panslawizm istotę swą, streszczoną ongi w pytaniu: czy Europa ma skozaczeć?



MISERICORDIA.



Swojego czasu gdy się rozeszła wieść o okradzeniu cudownego obrazu, prasa nasza rewolucjonistów i wolnomyślicieli wskazywała jako moralnych sprawców świętokradztwa. „Dotąd żadna ręka nie ośmieliła się targnąć na świętość narodową, dopiero rewolucja, anarchja, wywrotowe tendencje wydały z siebie zbrodniarza“. Aliści nie minęło wiele czasu — istotna prawda się ujawnia: „ta ręka“, łupiąca od lat Jasną Górę, zmieniająca klasztor w jaskinię oprawców i dom rozpusty, wyrosła z wielebnych ramion, okrytych białym habitem. „Ofiarność się wzmagała, a dochody zmniejszały“ — dziwią się dziś pisma, dziwi się sławiony tak przez nie wieloletni przeor, ks. Rejman, dobroduszny poczciwiec, który ani rusz nie mógł się domyślić, jakim sposobem to się dzieje i dopiero rewizja policji wykrywająca po celach znaczne sumy, otwiera mu oczy.

Zausznik i uczeń jego ks. Damazy Macoch, zawiązuje z penitentką romans w konfesjonale, przyjmuje ją u siebie, dla ułatwienia stosunków wydaje za mąż za brata, potym go morduje we śnie, ociekającymi krwią rękami dysponuje na śmierć, by po rozgrzeszeniu dodusić. Sprowadza kosze, wnosi sofę, pakuje trupa, w nocy wyjeżdża, odbiera od woźniców na przezornie zabranym krucyfiksie przysięgę milczenia, „bo to, co się stało, dla dobra obrazu naszej Panienki stać się musiało“, bieli celę, zamalowuje podłogę, a nikt o niczym nie wie, niczego się nie domyśla, za zamkniętymi klauzurą drzwiami odbywa się cała historja. Gdy się jednak uchyliły podwoje, na cały świat buchnął trupi odór klasztornej zgnilizny. Ślubujący ubóstwo i czystość kradli, jak najęci, pieniądze i wota, wyłupywali drogie kamienie z uchodzącego za święty i oddanego pod ich straż obrazu, na prezenty dla swoich utrzymanek. U ks. Izydora Starczewskiego wykrywa się 200 listów miłosnych od rozmaitych kobiet, a przecież niczym on jest wobec swego towarzysza, ks. Bazylego Oleśnickiego, który zyskuje nawet wśród Paulinów opinię kobieciarza. Kiedy ks. Damazemu zarzucają udział w świętokradztwie, tłumaczenie jego streszcza się w słowach, że ruszać obrazu nie miał potrzeby, mógł bowiem zgodnie z przyjętym zwyczajem czerpać z sum składanych na ofiarę i istotnie „zaczerpnął“ około 30000 rubli. Gdy się dopytują o przyczyny nagłej śmierci jubilera ks. Jodela, okazuje się, że było to *delirium tremens,* choroba nałogowych pijaków.

Tłumaczenie godne oskarżeń. Zbrodnie częstochowskie są dotkliwe nawet dla tych, dla których klasztor i obraz jest tylko historyczną pamiątką i budzą odrazę do tych „niegodnych stróżów“, którzy dali usprawiedliwiony powód do wkroczenia na Jasną górę policyi i żołdactwu. Ale dla tego ludu, który ciałami wyczołgał, ustami wycałował głębokie bruzdy w kamiennej posadzce kaplicy jest to cios straszny, plunięcie w serca gorejące wiarą. Ta zbrodnia nie minie bezkarnie i wolno się spodziewać, że się popruje w wielu miejscach ten zszyty z białych, brunatnych habitów i czarnych sutann całun, spowijący w śmiertelny sen ducha polskich mas. Macoch i jego kompanja wrogom klerykalizmu wyświadczyli znakomitą usługę.

Zrozumiała to doskonale większość prasy, która pędzi na odsiecz zagrożonej placówce. „Słowo Polskie“, „Głos Narodu“, usiłuje przedstawić ks. Damazego, jako agenta rządu rosyjskiego; który wprowadzony został do klasztoru, by zdemoralizować Paulinów. Gdyby nawet tak było, to co byli warci owi pobożni mężowie, których jeden ciemny, nie umiejący nawet pisać ortograficznie człowiek, potrafił zdeprawować doszczętu? My, którzyśmy nie jeździli na zjazdy słowianofilskie, by obiecywać Bobrińskim przyjaźń b e z z a s t r z e ż e ń, którzy bojkotowaliśmy carską Dumę, i nie stoimy, jak p. Dmowski, na stanowisku państwowości rosyjskiej, ale przeciwnie, pragnęlibyśmy tę bastylię Europy zburzyć, możemy sobie pozwolić na prawdę. Wywody „Słowa Polskiego“ są śmieszne. Zwracanie wzburzonej opinii publicznej przeciw rządowi jest sprzeczne ze stanowiskiem Narodowej Demokracyi, popierającej państwowość rosyjską, a tłumaczy się jej obawą, by afera częstochowska nie zaszkodziła panoszącemu się w Królestwie wpływowi kleru, który jest i był jej sojusznikiem w tępieniu postępowych i antyrządowych tendencji rewolucyjnych, a w osobie ks. Stojałowskiego, który istotnie miewał konszachty z rządem najeźdźców, staje się nim w Galicji. Cała jednak sztuczka zbyt jest naciągana, by się mogła udać. (*G.*)

(X.) Prasa konserwatywno-klerykalna wije się dziś pod ciężarem przygniatających wieści z Jasnej Góry. Poczciwy Kordecki miał wobec najeźdźców szwedzkich o wiele łatwiejsze zadanie, niż dzisiejsi obrońcy Rejmana i jego Damazych... Legenda klerykalna wydmuchała drobny epizod z wojen szwedzkich do rozmiarów cudownego zdarzenia, które uratowało Polskę. Autentyczne dokumenty, wydobyte na jaw z archiwów szwedzkich rozbiły jednak w puch tę legendę. Znaleziono między innymi list ks. Kordeckiego, pisany do króla szwedzkiego, w którym wyrzeka się Jana Kazimierza i uznaje nowy porządek rzeczy. I ksiądz Rejman, przeor z XX. wieku był lojalnym poddanym cara i pilnie baczył, by do klasztoru nie wtargnął wróg — polski duch buntowniczy. Skarby, których nie potrafił zdobyć generał szwedzki Müller, rozdrapały i przehulały chciwe i sprośne mnichy. A tłumy ciemnych pątników wędrowały rok w rok na Jasną Górę i składały obfite miedziaki, z których nikt nie zdawał rachunku. Od czasu do czasu urządzano po całej Polsce składki, raz na odnowienie spalonej wieży, drugi raz na posag dla pani Macochowej.

Od czasów Kordeckiego nie był klasztor częstochowski w takiej jak dziś opresyi, toteż i obrona jest dziś zaiste rozpaczliwą. Prasa reakcyjna usiłowała z początku skandal przemilczeć. Nie udało się. Więc chciano skandal zlokalizować: na pastwę wzburzonej opinii rzucono Damazego. Aliści wyszło na jaw, że Damazy miał wspólników wewnątrz klasztoru. I w tej opresji znalazła obrona klerykalna wyjście: okrzyczano Damazego za szpiega rosyjskiego. Właściwym winowajcą jest więc rząd rosyjski. On to skusił świątobliwych mnichów do porubstwa i złodziejstwa. W taki to zdumiewająco prosty sposób uspokojono sumienie publiczne.

Nie generalizować! — wołają dzienniki klerykalne. Zapewne, nie każdy Paulin jest Damazym. Są też i świątobliwi Paulini. Tego jednak nie potrafią klerykali żadną sofisterja wypersadować opinii, jakoby Damazy nie był produktem atmosfery, która panowała w klasztorze jasnogórskim. Damazych było

więcej, — a ci, którzy nimi nie byli, umierali na obżarstwo lub delirium tremens.

Skandal jasnogórski to nie pierwszy ani ostatni skandal klasztorny. Z całą jednak stanowczością odeprzeć musimy próby łączenia sprawy rozpustnych mnichów ze sprawą polską. Jak klasztor częstochowski wyłączony był faktycznie poza obręb naszego życia narodowego, tak też i rozkład wewnętrzny przeżytych form kościelnych nie powinien być łączony z życiem i dążeniami naszego narodu. Czyni to rząd carski, czynią to nasi klerykali; jednym i drugim należy głośno powiedzieć: wara od narodu polskiego!

Sprawa ks. Damazego jest ciekawą i pod względem teologicznym. Wiadomo z jego zeznań, że ugodziwszy swego brata siekierą, udzielił mu rozgrzeszenia, a potym dopiero dobił. Nasuwa się pytanie: czy rozgrzeszenie to jest ważne? Damazy był kapłanem katolickim i miał zupełne prawo dawania rozgrzeszenia. Zarzut, że był występnym zbrodniarzem nie może ostać się wobec faktu, że rozgrzeszenia udzielił umierającemu nie jako zbrodniarz, lecz jako kapłan. Wypadek ks. Damazego ma wiele precedensów w kościele katolickim; uczeni teologowie orzekli wówczas, że rozgrzeszenie jest bezwarunkowo ważnym, gdyż w Kościele katolickim forma ważniejsza jest od treści.

Spodziewać się należy, że sprawę tę oświetli ze stanowiska naukowego „Przegląd powszechny", „Gazeta Kościelna" i „Dwutygodnik katechetyczno-duszpasterski"...

(K.) Dyplomaci ze „Słowa Polskiego", nie uznający pono innej zasady w polityce swej „zagranicznej", jak tylko nasz „interes narodowy", kierują jednak z pewnym systemem potłuczoną nawę wszechpolską ku prawej ręce, zawierając sojusze (jednostronne) z francuskimi nacjonalistami i z klerykałami przeciw Briandowi, z mnichami hiszpańskimi przeciw Canalejasowi itp. Najnowszy sojusz zawarli z królem Manuelem portugalskim. Rzecz nie byłaby warta wzmianki (wątpimy bowiem, by p. Grabski nawet z poparciem ks. Stojałowskiego zdziałać mógł kontrrewolucję w Lizbonie) gdyby nie nader oryginalne idee strategiczno-powstańcze, które przy tej okazji narodziły się na łamach tego czcigodnego dziennika. Zachwycając się mianowicie „nadzwyczajną pogardą śmierci", okazaną przez wojska monarchiczne, poddało „Słowo Polskie" ostrej krytyce zachowanie się powstańców, winiąc ich a) że nie odznaczyli się „szczególną pogardą śmierci", okręty ich bowiem, ostrzeliwane z wybrzeża, ustawiły się tak, iż ogień baterji nadbrzeżnych musieli rojaliści wstrzymać, by nie razić statków neutralnych; b) że przy dziesiątkowaniu szturmujących przeciwników okazali „widoczną zaciekłość".

Dotychczasowa taktyka nakazywała wprawdzie korzystać z wszelkich zasłon sztucznych i naturalnych by zmniejszyć straty od ognia nieprzyjacielskiego; nakazywała również tak własnym ogniem kierować by przyprawić wroga o najdotkliwsze straty. Z tego wychodząc stanowiska, stwierdzić tylko można, że powstańcy portugalscy stosowali bezwzględnie prawa i reguły wojny. Zdaje się jednak, że artykuły „Słowa Polskiego" wywołają przewrót w taktyce. Na przyszłość zatym a) zbuntowani marynarze dadzą się „z pogardą śmierci" potopić i zrobią rewolucję na dnie oceanu; b) atakującego przeciwnika odpierać będą powstańcy strzałkami... z numerów „Słowa Polskiego". Te pociski zgoła nie mogą być zabójcze!

(K) Zawiązano we Lwowie „Polskie Towarzystwo Demokratyczne". Pod nazwą, uświęconą przez tradycję bohaterstwa i męczeństwa, ukryła się owa zdawna zapowiadana „partja pracy pozytywnej". Zdumienie zaiste zbiera, słysząc ową nazwę. Czy to „najlepsza z Krasickiego bajek?" Czy to najlepszy z konceptów, jakie zrodziła krotochwilna Rzplta babińska? Znany jest z gawędy Pola ów babinski koniuszy, który raz tylko dosiadł konia, by sromotnie zeń zlecieć...

Zdaje się, że słowo „ludowładztwo" w tytule nowej formacji zapowiada, że będą ci panowie się starać — by utrzymać władztwo szlachty nad ludem.

A może słowo „demokracja" jest pomyłką drukarską, a „bobrzyńsko-kracja" napisane było w oryginale?



KSIĄŻKI NADESŁANE: Zofia Strzetelska „Prometeizm Słowackiego", Lwów 1910. — Wacław Sieroszewski „Z fali na falę", Książka, Kraków 1910. — S. Jesień „Bojowiec", Życie, Kraków 1910. — Dr. M. Janik „Z dziejów wymowy w w. XVII i XVIII." Lwów 1910. — W. Bunikiewicz „Wiosna", Gebethner, Kraków MCMXI. — „Z kongresu hygieny szkolnej w Paryżu". Sprawozdanie dra Szczepana Mikołajskiego. Lwów 1910. — P. P. S. zaboru pruskiego, jaką jest, a jaką być powinna?" Wyd. Tow. Soc. Pol. w Berlinie, Poznań 1910. — H. Strenger „O życiu Chopina, genjuszu i duchu jego muzyki. Próba syntezy". Ze słowem wstępnem Ludomira Różyckiego. Lwów 1910. — Jan Kasprowicz „Wybór poezji", wyd. Macierzy Polskiej we Lwowie — cena 60 h.

„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce na 2 i 3 str. okładki 20 hal., na 4 zewnętrznej 30 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny Juliusz Łopatka.

Z jesienią r. b. rozpoczęły się w Zakopanem

Lekcye zbiorowe

w zakresie I. i II. klasy gimnazyalnej.

Nauka opiera się na materyale naukowym szkół publicznych, aby uczniowie i uczenice po jej ukończeniu przystąpić mogli do egzaminu

W samym jednak sposobie nauczania wprowadzone będą zmiany, które wszystkie zmierzać będą ku temu, aby podudką do nauki, miasto klasyfikacyi, stało się rozbudzone zainteresowanie i wynikająca stąd samodzielna, przez nauczyciela nienarzucona, a z własnej ochoty płynąca praca.

Szczegółowych wyjaśnień co do naszych zamiarów, jakoteż co do sposobu prowadzenia poszczególnych przedmiotów, udziela się na żądanie Rodzicom i Wychowawcom. — Celowi wyżej wymienionemu służyć też będzie **Biblioteczka** naukowa złożona z wyborowych dzieł (stojących w związku z przedmiotami szkolnymi) pisarzy polskich i obcych. Ułatwi ona uczniom pójście za swem zamiłowaniem.

W związku z nauką **Botaniki** zamierzonem jest wprowadzenie nauki **Ogrodnictwa.** Poza tem:

Nauka **Śpiewu chóralnego**, przyczem pierwszy wątek melodyjny stanowić będą polskie pieśni ludowe.

Nauka **Rysunków i Modelowania, Rzeźba w drzewie, Wycinki** i inne działy Sztuki stosowanej wiekowi uczniów odpowiednie.

W lecie wspólne wycieczki, w zimie sporty zimowe.

Co do czasu wprowadzenia przedmiotów nauki tu wymienionych, a w szkołach publicznych nie obowiązujących, zastrzega się zupełną swobodę. Zależnym on będzie w znacznej części od ilości zgłoszonych uczniów i uczenic.

Każdy nowo wstępujący winien przedłożyć świadectwo lekarskie, dające dokładny obraz obecnego stanu zdrowia.

Uczniowie mający zamiar dopiero po pewnym czasie wstąpić do „Kompletu“ winni poinformować się już teraz o stanie nauki, aby można było dość wcześnie rozstrzygnąć, czy stan przygotowania uczyni wspólną naukę możliwą.

Kierownik:

Hugo Kaufmann.

Adres dla listów:

Zakopane, Chramcówki, willa „Krzemień“ I. p.